

# Włodzimierz Zacharz

---

## Moje Herby (wspomnienia z lat 1956–1975)

---

Studia Muzealno-Historyczne 9, 173-183

---

2017

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Włodzimierz Zacharz

## Moje Herby (wspomnienia z lat 1956-1975)

*Z okruszynami młodości co robić?*

*Rozrzucić ptakom?*

Julian Tuwim

W roku 1956 moi rodzice przywędrowali z tzw. Ziem Odzyskanych (konkretnie z Oławy) do Kielc. Zamieszkaliśmy przy ul. Herbskiej w kolejowym domku z czerwonej cegły, tuż obok nieistniejącego już dziś przejazdu. Czasów oławskich w ogóle nie pamiętam, więc śmiało mogę powiedzieć, że Kielce są moim rodzinnym miastem, a dzielnica Herby miejscem, od którego zacząłem poznawać świat. Ówczesne Herby rozciągały się w kierunku zachodnim właściwie już od ul. Mielczarskiego i Hożej. Przechodziła je linia kolejowa, prowadząca do Częstochowy, którą z czasem zaczęto utożsamiać ze wschodnią granicą osiedla.

Okolica była typowo podmiejska: niskie domki kryte papą, chlewiki, kurniki, gołębniki, wszystko to otoczone zmurzałymi płotami. Ludzie hodowali krowy, świnie, króliki, kury. Na ulicach widywało się więcej pojazdów konnych niż samochodów. Nasi sąsiedzi, państwo Piłatowie, mieli w kuchni pod podłogą piwnicę, w której trzymali dwa chude prosiaki. Gość siedzący przy stole słyszał co chwila z dołu „chrum, chrum...” (o zapachu nie wspomnę).

Z okna naszego mieszkania obserwowałem pociągi jadące w stronę Częstochowy. Wagony osobowe i towarowe ciągnęły parowozy, bo linia nie była zelektryfikowana. Bardzo ciekawe wydawało mi się to, że wielu pasażerów podróżowało siedząc na dachach wagonów, nierzadko oddając się przy tym grze w karty. Równie osobliwym był fakt zatrzymywania przez mieszkańców okolicznych domów lokomotyw przetaczających składy. Gdy gospodyni szykowała pranie, wychodziła na tory z wiadrami i z parowozu brała gorącą wodę; pomysłowo i ekonomicznie.

Po przeciwnej stronie torów stała jednopiętrowa kamienica. Mieszkał w niej mój kolega Włodek Ratał. Jego rodzice byli ludźmi nowoczesnymi, mama paliła papierosy (wówczas jeszcze niewiele kobiet ulegało temu nałogowi), ojciec jeździł wspinałym motocyklem SHL. Państwo Ratałowie już w końcu lat pięćdziesiątych mieli też telewizor, na owe czasy wielką rzadkość w grodzie nad Silnicą. Właśnie u Włodka po raz pierwszy oglądałem filmy na małym ekranie: *Znak Zorro*, *Szatana z siódmej klasy*, kreskówki Disneya. W naszym domu był jedynie odbiornik radiowy, w każdą sobotę rodzice zasiadali przed czarną skrzynką z zielonym oczkiem, by słuchać *Matysiaków*. Ojciec często z głową przy aparacie nasłuchiwał, co nadaje „Wolna Europa”.

My, dzieci, większość czasu spędzaliśmy na podwórku. Puszczaliśmy własnoręcznie skonstruowane latawce, graliśmy w klipę – swojską odmianę palanta, fechtowaliśmy się kijami. Na tłusciutkiego towarzysza zabawy krzyczeliśmy: „Sierżant Garcia gruby jak beczka, Zorro mu wyciął Z na porteczkach”. Zimą ślizgaliśmy się na tyżwach przykręcanych specjalnym kluczykiem do butów i zjeżdżaliśmy na sankach z wiaduktu powszechnie zwanego „mostem Herbskim” (przede wszystkim w niedziele, bo ruch był wtedy minimalny).

Najbliższy sklep znajdował się na rogu ulic Herbskiej i 1 Maja, w domu państwa Machejków. Gdy otwierało się wejście drzwi, brzęczał dzwonek i wtedy właściciel wychodził z zaplecza, by obsłużyć klienta. Wybór towarów był niewielki. Prywaciarzy państwo gnębiło wysokimi podatkami, dlatego nie mogli rozwijać szerszej działalności handlowej. Gdy szykowały się poważne zakupy, należało przejść na drugą stronę ulicy do sklepu państwowego, gdzie stał za ladą wesoły pan w średnim wieku. Do ludzi dorosłych mówił „dziewczynko”, „chłopczyku”, do dzieci zwracał się słowami: „proszę pani”, „proszę pana”. Towary leżały na drewnianych półkach pomalowanych białą olejną farbą. W kącie stały drewniane beczki z solonymi śledziami, które przed spożyciem należało moczyć przez wiele godzin. Nieco dalej w stronę śródmieścia miała swoje lokum jedyna w tej części miasta apteka, a tuż obok stał kiosk „Ruchu”.

Naukę rozpocząłem 1 września 1960 r. w tzw. jedenastolatce (7 klas podstawówki plus 4 klasy liceum) przy ul. Piramowicza. Taki typ szkoły dokładnie opisał Edmund Niziński w książce *Sposób na Alcibiadesa*. Gmach naszej budy był dwupiętrowy, zbudowany z czerwonej cegły. Po korytarzu i sali lekcyjnej chodziliśmy w butach, podłogę bowiem nasączono szarym płynem, od którego strasznie brudziły się ubrania. Wychowawczyni naszej klasy, pani Janina, uczyła nas wszystkich przedmiotów: języka polskiego, rachunków, śpiewu, robót ręcznych, rysunków, gimnastyki. Trzymała na lekcjach żelazną dyscyplinę, krzyczała na nas, ciągnęła za uszy, waliła linijką po łapach, stawiała w kącie, dawała szcutki w głowę. Gdy uczeń szedł do tablicy, kłaniał się nauczycielce siedzącej na wysokiej katedrze, wracając do ławki, czynił to samo. Przez pierwsze pół roku rysowaliśmy ołówkiem w zeszytach szlaczki, laseczki, kółka i inne znaki graficzne, aby wprawić rękę do posługiwania się piórem. Pióro składało się z drewnianej obsadki i stalówki, którą należało zanurzyć w kałamarzu z atramentem; zapisaną stroną osuszaliśmy specjalną bibułą. Przybory piśmiennicze trzymaliśmy w drewnianych piórnikach z przegródkami w środku. Ja miałem ciężki, dębowy; pamiętam dobrze, bo kiedyś w przystępie irytacji nauczycielka wlepiła mi nim solidną łapę. W drugim półroczu zaczynaliśmy poznawać litery i liczby. Pisać i czytać nauczyliśmy się z kolorowego, pełnego ciekawych obrazków *Elementarza* Falskiego. Podręcznik pokazywał świat i ludzi jednowymiarowo, tylko od dobrej strony, ale przecież pełnił w ten sposób ważną rolę wychowawczą.

Mocno utkwiły w mojej pamięci następujące klasowe wydarzenia. Pewnego dnia pojechaliśmy pociągiem do Zagnańska, by zobaczyć legendarnego Bartka; drzewo wyglądało wówczas jeszcze bardzo okazale. Innym razem wybraliśmy się do cyrku, który rozłożył swój ogromny namiot na łączce przy ul. Chęcińskiej (dziś na tym miejscu stoi okazała hala widowiskowo-sportowa). Po spektaklu umykaliśmy w popłochu, ponieważ gruchnęła wieść, że tygrys uciekł z klatki i buszował w pobliskim parku. Na szkolnej imprezie choinkowej zaprezentowaliśmy przedstawienie, w którym grałem rolę gęsi i miałem kłopoty z przygotowaniem kostiumu. Mama kupiła mi czerwone rajtuzy i białą bluzkę. Skrzydła zrobiliśmy z tektury, na którą nakleiliśmy białą karbowaną bibułę imitująca pióra. Piękną głowę z czerwonym dziobem wykonał kolega z 10 klasy Tadek Piłat.

Mimo że nie posiadaliśmy sali gimnastycznej, nasza szkoła miała spore osiągnięcia sportowe. Dziewczęca drużyna piłki ręcznej odnosiła duże sukcesy na arenie krajowej. Istniał zespół o nazwie „Żak”, grały w nim moje starsze koleżanki z ul. Herbskiej: Elżbieta Respygier, Irena Dereniwicz, Małgorzata Sowińska. Małgosia była osobą wybitnie zdolną, po ukończeniu liceum studiowała w Paryżu.

W czasie mojej nauki w pierwszej klasie szkoły podstawowej miało miejsce epokowe wydarzenie w dziedzinie podboju kosmosu. 12 kwietnia 1961 r. pierwszy człowiek znalazł się na orbicie i okrążył Ziemię. W radio nadano komunikat, że lecący sputnik będzie można oglądać gołym okiem. Wszyscy więc wpatrywali się w niebo, i ja też, ale niczego

nie zobaczyłem. Natomiast wieczorem oglądaliśmy wspaniały pokaz sztucznych ogni odpalanych nad kieleckim zalewem dla uczczenia bohaterskiego lotu radzieckiego kosmonauty Jurija Gagarina. Powszechnie powtarzano wtedy buńczuczne powiedzenie kosmonauty, który propagandowo twierdził, że w niebie był, ale Boga nie widział.

Miesiąc później przeprowadziliśmy się z ul. Herbskiej na ul. Częstochowską. W związku z tym zmieniłem szkołę i następne lata nauki spędziłem już w Szkole Podstawowej nr 5 przy ulicy Wróblej.

Mimo swej nazwy ul. Herbska nie była wcale centrum dzielnicy. Serce osiedla biło przy Częstochowskiej, tu kwitło życie kulturalne, obyczajowe, towarzyskie...

Każdego roku w pierwszą sobotę września na plac Zawodowej Kolejowej Straży Pożarnej przyjeżdżało kino objazdowe i gdy zapadał zmierzch na ścianie budynku wyświetlano film. Potem zaczynały się tańce. Na ułożonej wcześniej drewnianej podłodze wirowały pary w rytm modnych melodii: *Miłość w Portofino*, *Złote kalendarze*, *Zakochani są wśród nas*, *Augustowskie noce*. Prawie zawsze przygrywała orkiestra z akordeonem, perkusją, trąbką, skrzypcami. Z upływem lat muzyka stawała się bardziej nowoczesna, bigbitowa, gitarowa. Wokół zbierały się grupki gapiów: ludzi starszych, panien, kawalerów, dokazujących dzieciaków. Zapach kończącego się lata, nastrój swobody i bez troski – typowy sielski obrazek z folkloru przedmieścia tamtego czasu.

Mieliśmy osiedlowy klub, gdzie wieczorem można było posiedzieć w towarzystwie rówieśników, przejrzeć prasę, obejrzeć telewizję, kupić oranżadę, słodycze. Klub prowadziła mama kolegi z ul. Długiej, Zbyszka Grzegorzcyka. Nie istniał jednak długo, wkrótce na jego miejscu zorganizowano bibliotekę. Jako nałogowy czytelnik, często korzystałem z jej zbiorów.

W końcu lat sześćdziesiątych przy ul. 1 Maja wybudowano Bar Herbski. Pamiętam, że wtedy nawet nalepki na pudełkach zapalek zachęcały: „Korzystajcie z usług zakładów gastronomicznych”. My lokal nazywaliśmy Bonanzą. Nazwa trafna, gdyż rozgrywały się tu sceny żywcem wyjęte z westernowego saloonu. Pijackie burdy i bijatyki były na porządku dziennym. Zachodziłem czasem do baru na piwo, które z powodu kwaśnego smaku nazywano powszechnie „zemstą Jędrzejowa” (tam wtedy bursztynowy napój produkowano). Na ścianach wisiały tabliczki: „Dawanie napiwków uwłacza godności człowieka”, „Kultura obowiązuje także przy jedzeniu”, „Używalność noży tylko przy bufecie”. Menu było ubogie, ale oryginalne, np. jajko po japońsku (pół jajka na twardo plus kawałek szprotki). Przy stolikach podchmieleni jegomoście komentowali polityczno-społeczną rzeczywistość: „Rano kluski, wieczór kluski, wolna Polska, a rząd ruski”, „Przeżyliśmy potop szwedzki, przeżyjemy i sowiecki”. Starsi wspominali biedne i głodne czasy wojenne, gdy polowano na wrony i kawki, a właściciele psów i kotów musieli pilnować swoich czworonogów, by złapane przez obcych nie wylądowały w garnku. Jeden ze stałych bywalców lokalu nie zmieniał repertuaru. Kiedy stężenie alkoholu w jego krwi osiągało odpowiedni poziom, wskakiwał na stół i krzyczał na całą salę: „Oddajcie nam Lwów! Oddajcie nam Wilno!”. Kierowniczką wzywała milicję, przyjeżdżali niebiescy i wyprowadzali delikwenta, który zmierzając do wyjścia kłaniał się „damom, starcom i młodzieży”, a rozbawiona publika biła mu brawo. Taka scena powtarzała się wielokrotnie. Jakkolwiek by oceniać te pijackie odżywki, trudno nie zauważyć, że zawierały pewne akcenty patriotyczne.

Każdego roku letnią porą ulicami naszej dzielnicy przejeżdżała kolumna wojskowa: czołgi, wozy opancerzone, armaty... Na Herbach jest jedyna w mieście rampa kolejowa, gdzie można załadować sprzęt bojowy na wagony. W Kielcach swoje bazy miały dwie jednostki wojskowe, ale nie było poligonu, więc na ćwiczenia należało ruszać w Polskę. My, dzieci, kręciliśmy się wokół mundurowych i zaglądaliśmy w każdą dziurę. Przynosiliśmy z pobliskiego barobusu żołnierzom piwo w kuflach, za co dostawaliśmy kawę

zbożową w kostkach i suchary. Widząc ruch wojska, starsi ludzie gromadzili zapasy żywności. Pamiętali chude lata okupacyjne, obawiali się nowej wojny.

Przy kolejowej rampie było składowisko złomu, które dla chłopaków stanowiło wielką atrakcję. Znajdowaliśmy tu różne skarby: stare hełmy, maski przeciwgazowe, szable, zdezelowane części rowerów, scyzoryki... Wszystkiego pilnował starszy pan o czerwonej twarzy – Barodziej – i zapijaczona kobieta o przydomku Bardotka.

W lipcu i sierpniu niedzielne popołudnia mieszkańcy Herbów spędzali w pobliskim lesie na Gruchawce. Dorośli rozsiadali się na kocach i rozmawiali o swoich sprawach, dzieci biegały wśród krzaków, strzelały z łuków zrobionych z leszczyny, rzucały oszczepami do celu. Potem wszyscy jedliśmy pierogi z jagodami przyniesione w metalowych bańkach i piliśmy kompot z rabarbaru. Nie wiem dlaczego te pierogi tak mocno utkwiły w mojej pamięci, przecież jako dziecko byłem wielkim chudzielcem i niejadkiem. W upalne dni całymi rodzinami jeździliśmy nad Bobrę i Wierną Rzekę.

Naprzeciwno naszego domu, na parterze kamienicy państwa Kopytków, mieścił się sklep spożywczy. Większość towarów sprzedawano luzem, na wagę: cukier, mąkę, kaszę, sól, ryż. Na mleko trzeba było mieć własną bańkę. Klientów obsługiwały dwie panie: Lodzia i Zosia. Pewnego razu byłem świadkiem zabawnego zdarzenia. Między ekspedientką a kupującym miała miejsce taka oto rozmowa: – Proszę śledzia. Sprzedawczyni wyjęła rybę z beczki i rzuciła na ladę. – Proszę zapakować. – Śledzi nie pakujemy. – Jak więc mam go wziąć? – To już nie moja sprawa, ale najlepiej za ogon. – Pani jest nieuprzejma. – Nie pan będzie mnie uczył grzeczności. – W takim razie proszę o Książkę skarg i zażaleń. – Wisi na ścianie, na gwoździu. Mężczyzna wziął zeszyt, wyrwał z niego kilka kartek, zawinął w nie zakup i wyszedł, a pani za ladą jeszcze długo stała z otwartą buzią i wytrzeszczonymi oczami. Były to takie czasy, gdy klientów uważano za natrętów, intruzów. Kiedy mój ojciec chciał kupić zegarek, usłyszał: „Zegarków nie ma, nie wiem kiedy będą i nic mnie to nie obchodzi”. Z kolei moja mama, która nieuprzejmie obsłużona wskazała sklepiarzowi tabliczkę z napisem „Klient nasz pan”, dowiedziała się, że „w socjalizmie panów się tępi”.

Tak to już jest, że my ludzie nierozpoznawalni chętnie utożsamiamy się ze sławnymi rodakami i jesteśmy z nich dumni; czasem przybiera to nawet formę humorystyczną. Pamiętam z dzieciństwa sąsiada, pana Czesława Stypułę, który pokazując naderwane ucho mówił z dumą: „Widzicie, to robota Wiesia Gołasa”, bo wychowywali się na jednym podwórku, a pan Wiesław był podobno chłopakiem temperamentnym i zawadiaką. Trudno to zweryfikować, ale jeżeli sam aktor wspomina, że nauczyciele nie zwracali się do niego per Gołasa, ale Diablas, może z tym uchem było coś na rzeczy.

My mieszkańcy Częstochowskiej, Żurawiej, Skrajnej, Górniczej, Granicznej... byliśmy tacy ani miejscy, ani wiejscy. Nie chodziliśmy do teatru i filharmonii, ale z ochotą do kina i cyrku. Nie mówiliśmy gwarą, ale też nasz język był daleki od poprawnej polszczyzny. Masowo braliśmy udział w uroczystościach kościelnych, lecz równie chętnie maszerowaliśmy w pochodach pierwszomajowych. Byliśmy religijni, mieliśmy pogodny stosunek do problemów życia codziennego, nie brakowało nam poczucia humoru.

W całym osiedlu odczuwalny był nastrój ciszy, spokoju, senniści. Wszyscy odnosili się do siebie z życzliwością, odwiedzali nawzajem, życie sąsiedzkie kwitło. Nawet najwięksi rozrabiacy mieli szacunek, poważanie dla osób starszych. W stosunku do kobiet i dziewczyn byliśmy szarmanccy, powiedziałbym nawet rycerscy. Jeżeli ktoś uderzył dziecko, okradł biednego, skrzywdził ułomnego, narażał się na ostracyzm otoczenia. Można było być na Herbach łobuzem, ale honorowym, nihilistami gardzono. Ja i moi koledzy wynieśliśmy z domu, szkoły, kościoła jeszcze tradycyjne wychowanie, gdzie dobro od zła wyraźnie rozgraniczano. Relatywizm moralny był nam obcy. Opinię o Herbach jako rewirze rzekomo bandyckim, gdzie po zmroku obcym lepiej i zdrowiej było się nie zapuszczać, uważam za mocno naciąganą, niewiele mającą wspólnego



z ówczesną rzeczywistością. To typowy stereotyp, który jednak przylgnął do osiedla, podobnie jak osąd Witkacego, który z Kielc uczynił symbol małomiasteczkowej przyrody i kołtunerii.

We wrześniu 1961 r. rozpocząłem naukę w drugiej klasie, już w nowo wybudowanej szkole przy ul. Wróblej. Był to duży budynek z szatnią w podziemiach i salą gimnastyczną na piętrze. Od zachodniej strony mieliśmy boiska do gry w piłkę ręczną, koszykówkę (zimą lodowisko) oraz bieżnię i skocznię. Od wschodu rozciągały się ogródki warzywne, rosły drzewa. Kierował wówczas szkołą pan Stefan Zawierucha, który wraz z rodziną mieszkał w miejscu pracy. Nasze panie nauczycielki: Zofia Antoszevska, Bogusława Balicka, Elżbieta Fijałkowska, Kazimiera Gnatowska, Janina Kwietniewska, Danuta Kot, Regina Łucka, Teresa Podsiadło, Krystyna Śliwa, Danuta Wołczyk, Wiesława Wnuk-Kwiatkowska, Teodora Łukawska, Kazimiera Siewior, Melania Rębacz, Barbara Kozera, Maria Zaborowska. Panowie nauczyciele: Ryszard Lewczuk, Antoni Brzeziński, Stefan Modras, Antoni Misztal, Mieczysław Kozłowski. Do tej nowej w dzielnicy placówki oświatowej uczęszczało ponad tysiąc uczniów, oprócz miejscowych jeszcze dzieci z Łazów i Gruchawki. Szkoła pracowała na trzy zmiany, czasem wracaliśmy do domów po godz. 18, zimą już o zmroku. Ścisk na korytarzach w czasie przerw panował niesamowity, nie brakowało siniaków, guzów, porozbijanych nosów i głów. Szczególnie tłoczno robiło się wtedy, gdy wiele klas jednocześnie zbiegało do szatni, bo tam przejście było wąziutkie i pomieszczenia małe. Ciągłe coś nam ginęło. Ileż to ja razy wróciłem do domu bez rękawic, worka, szalika, czapki. Rodzice jednak nigdy nie zgłaszali o to pretensji do władz szkolnych. W salach lekcyjnych i na korytarzach mieliśmy parkiet. Jego konserwacja wyglądała bardzo oryginalnie – sprzątaczką rozsypywała zwiórowaną świecę, a dzieci froterowały klepki, ślizgając się po nich jak po lodzie. Gorzej, gdy rozlała się woda i nikt jej na czas nie powycierał. Wtedy parkiet puchł, powstawały wyrzuszenia i pagórki. Nie było innej rady, woźny demontował fragment podłogi, suszył i układał ponownie. W każdej sali (nad tablicą) wisiało narodowe godło – biały orzeł bez korony, a po obu jego stronach portrety przywódców państwa: Gomułki i łysego Cyrankiewicza. Aby mocno zaakcentować, że coś jest zupełnie zbędne, mówiło się: „Potrzebne mi to, jak Cyrankiewiczowi grzebień”. Powyższe, znane chyba w całej Polsce powiedzonko, wykorzystali później twórcy opowiadającego o losach warszawiaków serialu *Dom*.

O nasze zdrowie dbała pielęgniarka, młoda pani, która fachowo opatrywała nam rany i nie żałowała kropli żołądkowych. W gabinecie stomatologicznym było zdecydowanie mniej przyjemnie. Staraliśmy się za wszelką cenę tego miejsca unikać, niestety każde dziecko trafiało od czasu do czasu do fotel, nawet wbrew własnej woli. Uczniowskie zęby leczyła pani Maria Czarkowska. Miała do pomocy postawną asystentkę, która – bywało – trzymała siłą małego pacjenta, by nie czmychnął z pokoju. Gdy delikwent krzyczał z bólu, dentystka uspokajała ze stoickim spokojem: „Musi boleć”.

Na parterze mieściła się świetlica. Dzieci pracujących zawodowo rodziców mogły zostać po lekcjach, zjeść obiad, odrobić lekcje, pobawić się. W rogu sali stał telewizor z dziwną szybą zasłaniającą ekran. Szyba miała trzy części: górną niebieską, środkową żółtą i dolną zieloną. Tak wyglądała wtedy barwna telewizja, na prawdziwie kolorową musieliśmy poczekać jeszcze wiele lat.

Dzisiaj młodym ludziom pewnie wyda się to dziwne, ale my w szkole podstawowej lubiliśmy czytać książki. Na pauzach, przed lekcjami i po zajęciach zachodziliśmy do biblioteki, by wypożyczyć dzieła Sienkiewicza, Niziurskiego, Szklarskiego, Nienackiego, Dumasa. Potem opowiadaliśmy sobie przygody bohaterów *Piętnastoletniego kapitana* czy *Trzech muszkieterów*. Ponieważ w bibliotece zawsze panował niesamowity tłok i często spóźnialiśmy się na lekcje, wychowawczyni postanowiła sama wypożyczać nam lektury, które wcześniej przynosiła do sali. Bardzo lubiłem książkę

*Dzieci z Bullerbyn* Astrid Lindgren. Przeczytałem ją w ciągu kilku dni, gdy byłem trzeciakiem i chorowałem na grype. Potem wracałem do niej niejedną raz. W starszych klasach fascynowałem się *Krzyżakami*. Każdy uczeń prowadził lekturник – obszerny zeszyt, w którym sporządzał notkę bibliograficzną przeczytanej pozycji, przepisywał ciekawy fragment oraz ilustrował go. Prenumerowaliśmy też czasopisma: *Plomyczek*, *Plomyk*, *Świat Młodych* (tu zamieszczany był jeden z pierwszych polskich komiksów *Tytus, Romek i A'Tomek*). Gdy w V klasie zaczęliśmy uczyć się j. rosyjskiego, dodatkowo kupowaliśmy *Kartinkę*, *Murzilkę* i w ramach doskonalenia języka obcego korespondowaliśmy z rówieśnikami ze Związku Radzieckiego.

Kiedy chodziłem do szkoły podstawowej, panowała powszechna opinia, że uczniowie nie powinni grać w piłkę nożną, aby nie pokrzywić sobie nóg. Być może wynikało to stąd, iż sporo było dzieci niedożywionych (wszyscy obowiązkowo piliśmy codziennie obrzydliwy tran, by zapobiegać krzywicy). I faktycznie, na lekcjach wychowania fizycznego graliśmy wyłącznie w szczypiorniaka. Szkoła Podstawowa nr 5 miała na tym polu duże sukcesy. Jednego roku drużyna chłopców zdobyła nawet wicemistrzostwo województwa, ulegając w finale kolegom z Buska, którzy pięknie prezentowali się na naszym boisku w błękitnych strojach. Zawodniczki i zawodnicy ze szkolnej drużyny piłki ręcznej cieszyli się wśród społeczności uczniowskiej wielkim uznaniem. Do najlepszych graczy należeli: Barbara Roguła, Anna Goraj, Zdzisław Klimczak, Jan Piotrowicz. Ten ostatni kilka lat później trafił do reprezentacji Polski, a potem grał w jednym z zawodowych zespołów austriackich, udowadniając, że sport też może być sposobem na życie. Drużynę dziewcząt trenował p. Ryszard Lewczuk, chłopców p. Antoni Misztal.

W naszej szkole wielką wagę przywiązywano do akademii z okazji ważnych rocznic i państwowych świąt. Wtedy wszyscy zbieraliśmy się na sali gimnastycznej, widzowie siedzieli na parkiecie, recytatorzy i pieśniarze występowali na scenie. Przypominam sobie uroczystość zorganizowaną w celu uczczenia którejś tam z kolei rocznicy wybuchu rewolucji bolszewickiej w Rosji (żyliśmy w Polsce socjalistycznej i przyjaźń polsko-radziecka była oficjalnie mocno akcentowana). Na scenie bogata dekoracja, przedstawiająca przedmieścia Moskwy w letni wieczór. Śpiewa chór i indywidualni piosenkarze, dziewczęta i chłopcy w białych bluzkach i czerwonych krawatach. Płyną melodie: *Podmoskownyje wieczera*, *Pust wsiegda budjet sonce*. Wyróżnia się pięknym sopranem koleżanka o nazwisku Wrzałka, akompaniują jej uczniowie grający na mandolinach. Recytatorzy deklamują utwory liryczne Majakowskiego i Broniewskiego. Dwaj uczniowie inscenizują wiersz Minkiewicza *W Poroninie* (każdy czwartoklasista znał na pamięć ten utwór, napisany w formie dialogu ojca i syna, zaczynający się od słów: „Na małej stacji w wiosce Poronin...”). Wszystko to bardzo podniosłe, dostojne, napuszone. Równie uroczyste wyglądały październikowe akademie z okazji rocznicy powstania Ludowego Wojska Polskiego z nieodłącznymi pieśniami *Płynie, płynie Oka* i *Rozszumiały się wierzby płaczące*. Bywały przecież także imprezy o lżejszym charakterze. Na jednej z nich chłopak ze starszej klasy – Andrzej Błachut (przyszły rektor Wyższej Szkoły Umiejętności w Kielcach) zaprezentował zabawną piosenkę, w której jedna ze zwrotek zaczynała się słowami: „Moja ciotka w pegeerze wozi świnie na rowerze”, i otrzymał od rozbawionych słuchaczy gromkie brawa. Zastanawiam się, jak w ówczesnej rzeczywistości ustrojowej mogło to przejść przez pedagogiczną cenzurę.

Raz w miesiącu sala gimnastyczna zamieniała się w salę kinową. Terkoczący nieśmiało aparat rzucał ruchome obrazy na ścianę, na której namalowano biały ekran. Sprzęt był stary, wysłużony, często więc obraz skakał lub taśma się przerywała. Szczególnie utkwiły mi w pamięci filmy: *Historia żółtej cizemki*, *Awantura o Basię*, *Król Maciuś Pierwszy*, *Bitwa o Kozi Dwór*, *Tajemnica Dzikiego Szybu*, *Orzeł*, *Wielka, większa i największa*, *O dwóch takich, co ukradli księżyc*. Rzadziej, w ramach edukacji muzycznej uczniów, gościliśmy muzyków z kieleckiej filharmonii. Słowo wstępne

wyglądał Mirosław Niziurski, brat sławnego pisarza Edmunda Niziurskiego, a potem słuchaliśmy muzyki poważnej.

My, dzieci ze szkół podstawowych, udziału w pochodach pierwszomajowych nie braliśmy. Zdarzył się jednak wyjątek. Nauczyciel zajęć technicznych wpadł na pomysł, by chłopcy ze starszych klas zrobili broje, kopie, skrzydła i pomaszzerowali w pochodzie jako oddział husarii; chodziło o uczczenie obchodzonej w 1966 r. tysięcznej rocznicy polskiej państwowości. Pracy było wiele, ale efekt wspaniały. Nazajutrz po święcie kolegów husarzy mogliśmy zobaczyć na zdjęciu w „Słowie Ludu”. Do manifestacji w dniu Święta Pracy ówczesne władze przywiązywały wielką wagę. Najmniejsze wpadki surowo piętnowano, a tych, jak to w życiu bywa, nie brakowało. Pewnego roku wydarzyła się taka oto zabawna historia. Dziennikarz relacjonujący przebieg uroczystego przemarszu, dostrzegając zbliżających się do trybuny pracowników Kieleckich Zakładów Wytwarzania Metalowych, krzyknął do megafonu: „Oto nadchodzą robotnicy największej w naszym mieście fabryki ! Widzę już cztery litery!”. Chodziło mu rzecz jasna o czołowy napis KZWM, który nieśli przedstawiciele załogi. Wybuchła wielka awantura. Nieszczęsny sprawozdawca został wezwany do KW PZPR i zrugany: „To wy, towarzyszu redaktorze, nie wiecie, co w języku polskim oznacza wyrażenie «cztery litery»?! Czy zdajecie sobie sprawę, jak to ludzie mogli odebrać?! To prowokacja!”.

W szkole nie wszyscy uczniowie sprawowali się należycie. Aby poskromić dziecięce temperamenty, stosowano odpowiednio dobrane kary, a więc: łapy, pociąganie za uszy, stawianie w kącie, klęczenie na grochu, wyproszenie łobuziaka za drzwi, wzywianie rodziców na rozmowę, przeniesienie do równoległej klasy, wyrzucenie ze szkoły. Relegowany za mojej kadencji był tylko jeden uczeń, chłopak ze starszej klasy – Waldek. Jego wybryk był już natury kryminalnej, otóż zaczepiał w lesie oddzielającym Herby od Gruchawki wracające ze szkoły dziewczynki i molestował je. Te złe skłonności rozwinęły się u niego niestety i kilka lat później dostał wieloletni wyrok za gwałty na nieletnich. Rozpisywała się na ten temat szeroko kielecka prasa, bo proces sądowy był głośny. Jeden z dziennikarzy przyjechał do domu rodzinnego Waldka, by przeprowadzić wywiad z jego matką. Swój artykuł zaczął słowami: „Dzielnica Herby, kocie łby na ulicach, przy nich rudery, na progach brudne, usmarkane dzieci”. Nie podobało mi się pisanie pana redaktora.

Świat w roku 2000 – taki temat pojawiał się często w wypracowaniach klasowych, domowych oraz na lekcjach plastyki. Wydawało nam się, że w tak odległej przyszłości będziemy podróżować po wszechświecie kosmicznymi pojazdami, odwiedzać nieznaną planetę, odżywiać się kolorowymi pigułkami. Tak to widzieliśmy, tak odzwierciedlaliśmy swoje wyobrażenia w pracach pisarskich, rysunkowych, malarskich. Przypominam sobie też lekcję geografii, na której nauczyciel z pełną powagą dowodził, iż rolnictwo nie ma żadnej perspektywy, gdyż Japończycy już produkują kotlety z ropy naftowej. Rzeczywistość mocno skorygowała nasze śmiałe wizje.

Pewnego dnia całą klasą wybraliśmy się do teatru na spektakl oparty na motywach powieści Lucy Montgomery *Ania z Zielonego Wzgórza*. Do tej pory bywałem tylko na przedstawieniach kukielkowych w „Kubusiu”<sup>1</sup>, teraz znalazłem się w prawdziwym teatrze, gdzie grali żywi aktorzy. Innym razem poszliśmy do kina „Moskwa” na film *Chata wuja Toma*, będący ekranizacją znanej książki i opowiadający o czasach niewolnictwa na południu Stanów Zjednoczonych; mnie bardzo podobała się muzyka.

Wielkim oryginałem w gronie pedagogicznym był pan Stefan Modras, który uczył nas zajęć praktyczno-technicznych. Tępił palaczy, dlatego często na przerwach kontrolował toalety. Gdy złapał amatora „Sportów”, rekwirował całą paczkę, a winowajcę prowadził za kołnierz do pokoju nauczycielskiego i dawał mu srogą reprymendę.

1    Teatr Lalki i Aktora w Kielcach (przyp. red.).



W starszych klasach muzykę mieliśmy z nauczycielem – skrzypkiem. Na lekcjach śpiewaliśmy do znudzenia takie „przeboje”, jak: *Zielony mosteczek ugina się czy też Od Siewierza jechał wóz*. Jeżeli ktoś z nas nie przygotował się do zajęć lub fałszował, pedagog walił go smyczkiem lub trzonkiem od klucza w głowę. Specyficzny stosunek do uczniów miała też polonistka. Do naszego kolegi Jurka, spokojnego chłopaka z potężnym zezem, kiedyś powiedziała: „Ty masz spojrzenie bandyty. Ja twoje zdjęcie wyślę do «Przekroju»”. Jednak większość nauczycieli to byli ludzie mili, sympatyczni, życzliwi młodzieży, pracujący w zawodzie z powołania, bo przecież nie dla pieniędzy. Zarobki w oświacie kształtowały się grubo poniżej średniej płacy. Przekonałem się o tym, gdy fizycznie zgineły pieniądze w dniu wypłaty i na lekcji lamentowała: „Przepadła moja miesięczna pensja, całe 1200 złotych”. Po powrocie do domu zapytałem ojca, ile zarabia. Okazało się, że dużo więcej, choć był tylko szeregowym pracownikiem kolejowym.

Do połowy lat sześćdziesiątych na Herbach istniały tylko dwie placówki oświatowe – jedenastolatka przy ul. Piramowicza i Szkoła Podstawowa nr 5 przy ul. Wróblej. Uczęszczało do nich tak wielu uczniów, że władze oświatowe podjęły decyzję o budowie kolejnej podstawówki. Miejsce wytyczono między ulicami Długą i Curie-Skłodowskiej, gdzie do tej pory rosły sobie spokojnie drzewa, żyto, ziemniaki i płynął niewielki strumyk. Chodziliśmy często z chłopakami oglądać plac budowy. Cieszyliśmy się, bo przy nowej szkole miał być kryty basen. Ostatecznie z pływalni zrezygnowano, a okazały budynek oddany został do użytku latem 1967 r.

Pierwszego września przekroczyliśmy próg Szkoły Podstawowej nr 26, przy nowo wytyczonej ulicy Franciszka Zubrzyckiego (ob. Górnicza); gmach rozległy, nowoczesny, dobrze wyposażone pracownie przedmiotowe, duża sala gimnastyczna, świetlica z zapleczem kuchennym, biblioteka, gabinet lekarski, gabinet Poradni Wychowawczo-Zawodowej. Nie podobały mi się tylko podłogi z płytek PCV, przyzwyyczajony byłem do parkietu w „piątce”. Wokół budynku gruz, połamane deski, pogięte druty, kawałki papy, worki po cemente... Przez wiele miesięcy na lekcjach wychowawczych i zajęciach technicznych pracowaliśmy przy plantowaniu terenu, sadzeniu drzewek, budowie boisk. Do dziś na placu rośnie jeszcze kilka drzew, które wtedy zasadziliśmy. Nowa szkoła nie była całkiem nowa, bo przecież połowa uczniów i nauczycieli przeszła z gmachu przy ul. Wróblej, czuliśmy się zatem swojsko, swobodnie, zachowaliśmy ciągłość życia edukacyjnego i koleżeńskiego.

Kierował szkołą pan Ryszard Lewczuk, człowiek mądry, spokojny, dowcipny, miał niestety problem z alkoholem. Dyrektor miał niechętny stosunek do Kościoła. Nie było na lekcjach wielkiej indoktrynacji laickiej, ale pedagog, wypowiadając się na temat księży czy religii, często sobie dworował. Wiedząc o tym, postanowiliśmy zrobić mu dowcip. Na druku kościelnym, zachęcającym do udziału w rekolekcjach, wpisaliśmy jego imię i nazwisko i poprosiliśmy niewtajemniczonego w proceder kolegę, by wręczył kopertę nauczycielowi, gdy ten zjawi się w klasie. Prostolinijny i ufny Krzysiek zgodził się. Był pewien, że dyrektor podziękuję mu za doręczenie przesyłki, ale srodze się zawiódł. Gdy historyk wszedł do sali, chłopak zaraz podbiegł do niego i wyjąkał: „eee..., proszę pana, eee..., to dla pana”. Belfer przeczytał wiadomość, uśmiechnął się szelmowsko i powiedział: „Zapraszasz mnie na rekolekcje, więc w rewanżu zapraszam do odpowiedzi”. Przez pół godziny kolega był maglowany i zupełnie się pogubił. Nawet na pytanie, gdzie rozegrała się bitwa pod Grunwaldem nie potrafił odpowiedzieć. Oczywiście dostał pałę i miał do nas pretensje, że wpuściliśmy go w maliny. Pan Lewczuk często przychodził na lekcje z 30-minutowym opóźnieniem, a bywało że w ogóle się nie pojawiał. Czując się jakoś odpowiedzialny za wykładany przedmiot, oznajmił nam w maju, że kto chce mieć trójkę na koniec roku, musi znać co najmniej 50 dat z dziejów Polski i świata, na czwórkę trzeba ich opanować już 100, a na piątkę 150. Nie było rady, przez następne tygodnie zgłaszaaliśmy się w jego gabinecie i zdawaliśmy zadany

materiał, jedni od razu całość, inni partiami. Ja za drugim podejściem zaliczyłem 100 dat i dałem sobie spokój. Jeżeli dziś widzę czwórkę z historii na świadectwie ukończenia szkoły podstawowej, to dobrze wiem, za co ją otrzymałem.

Barwną postacią w szkolnej społeczności była pani Maria – sprzątaczką. Dorabiała sobie do pensji, sprzedając dzieciom w czasie przerw słodkie bułki, które rano przynosiła z piekarni Słowińskiego. W sklepie bułka kosztowała 2 zł, w szkole 2,50. Była ona kobietą pracowitą, zapobiegliwą i przewidującą. W swoim gospodarstwie domowym przy ul. Długiej trzymała konia, krowę, świnię, kury, specjalizowała się także w nabywaniu ziemi. Gdy wypatrzyła na Herbach jakiś bezpański „małpi gaj” czy „osłą łączkę”, natychmiast brała grunt w dzierzawę, a po dwudziestu latach zasiedzenia stawała się jego właścicielką. Ludzie uważali to za wielkie dziwactwo, ale czas pokazał, że to ona miała rację. Kiedy mojemu ojcu zaproponowano kupno działki budowlanej przy ul. Czesłochowskiej za równowartość dwóch telewizorów, a on odmówił, można strofowała go: „Panie Stefanie, to wielki błąd, ustroje się zmieniają, domy wałą w gruzy, a ziemia pozostaje i zawsze będzie miała wartość”. Wiele lat później okazało się, że były to prozocze słowa.

Pierwszy rok pracy SP nr 26 był wybitnie organizacyjny, pełen niedociągnięć i pedagogicznej improwizacji. Ciągłe zmieniał się plan lekcji, jedni nauczyciele odchodzili, inni przychodzili, często mieliśmy zastępstwa, a czasem zdarzało się, że siedzieliśmy w klasie sami. Pewnego dnia tak się właśnie zdarzyło, więc kazano nam zejść na dół, gdzie młodsi uczniowie oglądali spektakl teatralny. W sali gimnastycznej zbudowano scenę i poustawiano dekoracje. Kielecki „Kubuś” prezentował sztukę o tym, jak zły zbój Madej chciał skrzywdzić biedną sierotkę. W przedstawieniu grały kukielki, ale także występowali aktorzy. Postać Madeja kreował pan z długim nosem i chorobliwą naroślą na czole wielkości piłeczki pingpongowej. Nazywał się Wenus, a znaleźmy go dobrze, ponieważ mieszkał na Herbach, tuż obok rampy kolejowej. Nas, wtedy ośmioklasistów, spektakl dla dzieci zupełnie nie interesował, zaczęliśmy się więc wygłupiać. Udając pierwszaków, głośno wołaliśmy: „Ty wstrętny zbroju, dlaczego dokuczysz sierotce?! Mała, uciekaj, chowaj się!”, itp. Szybko wyproszono nas z sali i dostaliśmy karę, na drugi dzień musieliśmy przynieść napisane własnoręcznie sto razy zdanie: „W szkole należy zachowywać się kulturalnie”. Wówczas taki sposób dyscyplinowania uczniów był powszechnie przez pedagogów stosowany.

W klasie przez wiele lat mówiono na mnie Matejko, ponieważ miałem pewne zdolności plastyczne. Ilustrowałem kronikę, malowałem gazetki ściennie, przygotowywałem dekoracje na szkolne akademie. Ale w pewnym momencie to się zmieniło. Po omówieniu twórczości Kochanowskiego polonistka poleciła nam przygotować recytację dowolnego wiersza poety. Koleżanki i koledzy wybierali fraszki *Na lipę*, *Na zdrowie*, *Tren VII*, *Tren VIII*, ja natomiast wyszukałem w bibliotece pieśń, którą Jan z Czarnolasu poświęcił swej ukochanej żonie Dorocie i nauczyłem się jej na pamięć, mimo iż był to utwór obszerny i nie bardzo do deklamacji się nadawał. Pamiętam do dziś z tego wiersza dwie linijki: *A kiedy Cię pocatuję, Trzy dni w gębie cukier czuje*. Zapamiętałem je dobrze, ponieważ cała klasa wybuchła w tym momencie śmiechem; także nauczycielka, osoba z natury nieskora do okazywania uczuć, nie mogła ukryć rozbawienia. Od tego dnia przezywano mnie Całus, a dowcipna koleżanka podarowała mi na mikołajki ogromnego lizaka i życzyła, by mi nigdy „słodczy w gębie nie zabrakło”.

Jakoś tak pod koniec roku szkolnego przyjechał do nas z Łodzi dyrektor Technikum Papierniczego i zachęcał, byśmy kontynuowali edukację w jego szkole. Gwarantował miejsce w internacie, kuśił wysokim stypendium Dyrektorowi wtórował urzędnik kieleckiego magistratu. Chodziło o przygotowanie fachowej kadry dla budującej się wtedy między Niewachłowem a Malikowem fabryki papieru. W tym też czasie rozpoczęła się modernizacja kolejowej stacji przeładunkowej na Herbach, być może obie te inwestycje

były ze sobą skorelowane. Dobudowano więc nowe tory, a nad nimi położono kładkę łączącą naszą dzielnicę z Czarnowem. Stoimy sobie kiedyś na tym mostku, obserwujemy przejeżdżające pociągi i pasażerów czekających na peronie. Kolega Janusz zaczął pluć z góry na podróżnych. Zauważył to pracownik Służby Ochrony Kolei i nas przyaresztował. O wszystkim powiadomił rodziców i dostałem w domu burę, choć przecież nic nie zawniłem. Janusz był spośród nas największym urwisem. Często wagarował, podkradał pieniądze, wdawał się w bójki. Jego ojciec zmarł młodo, a mama pracowała cały dzień w sklepie, nie miał więc żadnego dozoru ze strony dorosłych i robił co chciał. Nie wiem dlaczego, ale wszyscy mówili na niego Januszek i kiedy wiele lat później oglądałem w telewizji serial *Ballada o Januszk*, opowiadający o łobuziaku, którego rodzicielka nie potrafiła zdyscyplinować, przypomniałem sobie kolegę z ulicy Długiej, którego życiorys był podobny do scenariusza filmowego.

Mama jednego z moich przyjaciół klasowych i jednocześnie bliska sąsiadka pojechała na miesiąc do swojej siostry do Francji. Po powrocie opowiadała nam, co widziała i przeżyła. Mówiła, że Francuzi strzelają z armat do burzowych chmur i na ziemię spada nie gwałtowna ulewa, lecz spokojny deszczyk. Powiedziała nam, iż nad Sekwaną ludzie nie kradną, a dzieci wcale nie muszą rowerów zamykać na noc w komórce i nikt cudzej własności nie ruszy. Bardzo nas to dziwiło, bo przecież nawet w szkole zdarzały się jakieś kradzieże, a my nagminnie buszowaliśmy po okolicznych sadach.

Jeszcze będąc w podstawówce zastanawiałem się, dlaczego mieszkańcy naszego osiedla, wybierając się do Śródmieścia, mówili: „Idziemy do miasta”, a nie: „Wychoodzimy na miasto”. Wiele lat później przeczytałem w książce Jana Pazdura, że Herby przyłączono do Kielc dopiero w roku 1930. Już osobiście pamiętam, iż do połowy lat siedemdziesiątych jedna strona ul. Skrajnej należała do miasta, zaś druga pozostawała poza obrębem administracyjnym Kielc. Zatem taka pozostałość w języku miała swoją przyczynę. Podobnie zastanawiające jest dla mnie mówienie i pisanie: „szkoła na ulicy Wróbla”, „urząd na ulicy Wróbla”. Dlaczego Wróbla, a nie Wróblej? Przecież nikt nie powie „na ulicy Sowia” czy „na ulicy Pawia”, tylko „na ulicy Sowiej”, „na ulicy Pawiej”. Najprawdopodobniej używający nazw ulic w tej formie nie wgłębiają się zbyt mocno w znaczeniu tych nazw.

W 1975 r. ukończyłem studia i pożegnałem Kielce na kilkadziesiąt lat. Do rodzinnego domu przy ul. Częstochowskiej wróciłem jako emeryt. Moje Herby znalazłem całkiem odmienione. I nie o to chodzi, że powstały nowe urzędy, sklepy, wybudowano wieżowce, a od rana do wieczora ulicami płynie rzeka samochodów – takie zmiany są naturalne. Ale zniknęła gdzieś niepowtarzalna, przyjazna, familiarna atmosfera, ulotnił się niegdysiejszy, pogodny duch dzielnicy, jakże inny od atmosfery obecnej hałaśliwej epoki.

**Włodzimierz Zacharz (Kielce)**  
**My Herby (Memoirs from the Years 1956-1975)**

The memoirs written by a retired teacher of the Polish language cover the period of his early childhood and school years. The author lived in the district of Herby, large and neglected working class suburbs of Kielce. The memoirs include numerous descriptions of generic and moral nature.

Keywords: Kielce, 20th century customs, Herby, memoirs.